

ALBERT MEMMI

POZNAJEMY RASIZM
NA
WŁASNEJ SKÓRZE

8

Zielona Góra 1995

POZNAJEMY RASIZM NA WŁASNEJ SKÓRZE

(...) Łatwiej walczyć z argumentami niż z emocjami, wygodniej odrzucać czyjeś wywody niż doświadczenie. Nie ma nic pocieszającego w fakcie, że źródło i pożywką rasizmu leżą w doświadczeniu zgoła pospolitym. Przeciwnie, banalność rasizmu potęguje jeszcze jego uporczywość i nieuchwytność.

Niektórzy moi krytycy, przerażeni, jak przypuszczam, powszechnością zjawiska, zarzucali mi, że ujmuję je zbyt szeroko. Wróć jeszcze do tej sprawy, a na razie muszę niestety potwierdzić, że wzięwszy wszystko pod uwagę nadal sądzę, iż jest to doświadczenie powszechne i znaczące, z którym stykamy się bardzo wcześnie, przez co tym mocniej ciąży na ludzkiej wrażliwości. Jest to doświadczenie znane zapewne każdemu człowiekowi, a może i zwierzęciu: ilekroć człowiek wchodzi w kontakt z drugim człowiekiem albo nie znaną mu lub różniącą się od niego grupą, reaguje w sposób zapowiadający rasizm.

Takie stwierdzenie może budzić niepokój, jeśli nie sprzeciw. Cóż bowiem odpowiedzieć rasiście? Już słyszę jego drwiny: dlaczego by oskarżać szczególnie jego, skoro zło jest aż tak rozpowszechnione? Czyżbyśmy więc zawsze i wszyscy byli rasistami? Nie, niezupełnie. To prawda, że rasizm kusi niemal wszystkich. Mamy w sobie obszar gotowy na przyjęcie ziaren rasizmu, które na nim zakiełkują, jeśli nie będziemy czuwać. Grozi nam rasistowskie zachowanie, ilekroć czujemy, że nasze przywileje, nasza własność czy poczucie bezpieczeństwa są zagrożone. Zachowujemy się jak rasiści, by przywrócić równowagę, którą, jak sądzimy, straciliśmy bądź właśnie tracimy. Pokusa pojawia się często i bez wątpienia rasizm jest jedną z najbardziej rozpowszechnionych reakcji w świecie ludzkim. Od nas zależy, czy się jej poddamy, czy też pokonamy w sobie strach, przemyślimy złudne najczęściej zagrożenie i będziemy się bronić inaczej niż przez destrukcyjne fantazjowanie na temat drugiego człowieka. Ale też nie powinniśmy przymykać oczu na ten aspekt ludzkiej rzeczywistości. Przeciwnie, tylko poddając go wnikliwej analizie możemy mieć nadzieję na znalezienie sensownego rozwiązania.

Całe dzieciństwo i młodość spędziłem w kraju, w którym panował klimat wzajemnej nieufności, by nie powiedzieć więcej, między narodami uznawanymi skądinąd za najbardziej życzliwe w świecie i żyjącymi w klimacie sprzyjającym obcowaniu z ludźmi. Tyle, że mieliśmy mniej lub bardziej różniące się religie, języki i obyczaje, a także mniej lub bardziej sprzeczne interesy. W rezultacie każdy odczuwał w stosunku do wszystkich - poza pewnym pozytywnym uczuciem wynikającym z długotrwałego sąsiedztwa - podejrzliwość, obawę i wrogość, przejawiające się w każdym geście, w każdym zdaniu i wzbuchające czasem w istnych paroksyzmach, których ofiarą padali najsłabsi i najbardziej bezbronni. Kiedy przyjechałem później do Francji, do Europy, nie znalazłem tam niczego, co by zadalo kłam tej przykrej lekcji. Jest oczywiste, że bardziej jednorodna ludność, bardziej egalitarne prawa i demokratyczne nawyki szczęśliwie przytłumiają takie wzajemne awersje, co niewątpliwie stanowi postęp. Ale pełna obawy lub ironii pogarda dla cudzoziemców, zabarykadowanie się we własnej rezerwie, prawie zupełny brak gościnności, niezwykle upodobanie do tajności, systematyczne mylenie śladów np. przez nie umieszczanie wizytówki na drzwiach czy nazwiska w książce telefonicznej, szowinizm odradzający się wciąż przy okazji tak błahych jak mecze sportowe lub konkursy piosenki - wszystko to pokazuje, że agresywny lęk przed bliźnim jest zawsze podskórnie obecny. Wystarczy, by zatarły się bariery prawne czy moralne, by pojawiły się trudności gospodarcze bądź międzynarodowe zagrożenia, a kryjąca się w człowieku bestia podnosi pysk, gotowa do odwiecznych a zbrodniczych gestów jak kwarantanna, wykluczenie, nawoływanie do mordu, ekspedycje karne, niszczenie symbolicznych przedmiotów i miejsc. W czasie wojny rozkwitła wprost spontanicznie wrogość skierowana przeciwko uchodźcom, nieszczęsnym Alzatzczykom i Lotaryńczykom, których znów potraktowano jak "Szwabów", a nawet przeciwko zbiegłym na Południe Paryżanom. W ciągu paroletniego pobytu we Francji stwierdziłem istnienie pełnej obaw podejrzliwości wobec Cyganów, wrogiej wyższości wobec robotników imigrantów, rasizmu antyarabskiego objawiającego się w gwałtach i morderstwach, okresowo budzącego się antysemityzmu z podpalaniem synagog i dewastowaniem cmentarzy włącznie. Pamiętamy o słynnej "plotce orleańskiej", tym zdumiewającym oskarżeniu żydowskich sklepikarzy o organizowanie seryjnych gwałtów na uspiołych chloroformem klientów. Byliśmy świadkami zbrodniczych zamachów bombowych na żydowskie instytucje i domy studenckie.

Nie mówię naturalnie o wszystkich Francuzach; nie będę ja z kolei wpaadał w uogólnienia i stereotypy. Natrafiamy na rasistów we wszystkich grupach, wszystkich klasach, wśród każdej narodowości. Nawet na lewicy istnieje pewna tradycja antysemitka, że przypomnę słowa Tousse-nela: "antysemityzm to socjalizm głupców". Czy są to głupcy, czy nie, pewni ludzie uważają się jednocześnie za socjalistów i antysemitów, trzeba o tym pamiętać, zwłaszcza jeśli się jest ich ofiarą. Nie idzie zresztą tylko o Francję, żaden kraj europejski nie jest całkiem wolny od tej zmyry. Anglia długo cieszyła się sławą kraju najbardziej otwartego dla uchodźców: wystarczyło, by imigranci byli kolorowi i liczni, aby Anglicy również okazali się dotknięci wspólną obsesją. Na ulicach Londynu ścigano Hindusów i Murzynów. Nigdzie w świecie zarzewie rasizmu nie wygasło zupełnie, o ile w ogóle kiedykolwiek może wygasnąć. Czy trzeba przypominać o niezwyklej, płynącej z trzewi, nierozumnej negrofobii Amerykanów z Północy, o apartheidzie Afrykańczyków z Południa, o międzyetnicznych nienawiściach Brazylijczyków, o argentyńskim antysemityzmie? Kraje komunistyczne postanowiły nie nazywać tego ohydnego zła, udając, że są nim nie tknięte: rasizm jest tam konstytucyjnie zabroniony, wystarczyło wpaść na ten pomysł...

Powtarzam, że jest to tylko jeden aspekt życia zbiorowego. Funkcjonowanie każdego społeczeństwa zakłada wzajemną zależność jego członków i jej pozytywne aspekty przeważają, skoro to życie w ogóle jest możliwe. Ale strach, wrogość i agresja również są obecne w obcowaniu ludzi ze sobą. Każdy z nas ma w sobie pozytywne i negatywne reakcje na innego. Rasizm to nieudany związek z drugim człowiekiem, przy czym fakt tego nieudania staje się czymś zwyczajowym. Spytajcie przypadkowych ludzi, co czują w kontakcie z obcym. Przede wszystkim nieufność, jeśli nie wstręt i lęk. Obcy jest jak napotkana na drodze nieznana roślina, której sam zapach może się okazać trujący. Pojawienie się obcego, nawet gdy to ktoś stosunkowo bliski, powoduje, że się najeżamy i trzymamy na baczność mniej lub bardziej, zależnie od dystansu, jaki oddziela nas od niego. Nawet gdyby Marsjanie byli niegroźni, spotkanie z nimi wzbudziłoby strach i panikę. Wszystko dzieje się tak, jakby obok pociągu istniała w nas alergja na obcego. Czyż zresztą w słowie alergja nie zawiera się człon - *allas* - po grecku inny, i *ergon* - po grecku reakcja?

Różnica budzi obawę, bo różnica to nieznane, a nieznane wydaje się zapowiadać niebezpieczeństwo. Różnica niepokoi nawet wtedy, gdy urzeka. Urzeczenie nie klóci się zresztą z lękiem. Pociąg do nieznanego, zamiłowanie do podróży i egzotyki, wymiana kulturalna i handlowa płyną z ciekawości, a "niepokojąca obość" dodaje smaku tej szczególnej rozkoszy. Powiedzmy, że w najlepszym przypadku nie da się oddzielić cienia od światła.

Można by na przykład sądzić, że związki pokrewieństwa lub miłosne są tym, co u ludzi najbardziej pozytywne. A przecież nic podobnego! Zbyt często pojawiają się w rozmaitych kulturach fantazje na temat mordowania dzieci: bóg Chronos pożerał własne dzieci, Agamemnon obiecał złożyć ofiarę z córki w zamian za pomyślne wiatry, Abraham zgodził się poświęcić syna, uratowanego in extremis przez interwencję boską, że nie wspomnę o tysiącach zwęglonych szkieletów z grobów punickich, świadczących o tym, że apetyt Baala nie był tylko mitem. A czyż Chrystus nie był poświęconym synem? I czy nie powinniśmy przyznać, że sami posyłamy naszych młodych na śmierć, gdy tylko "ojczyzna znajduje się w niebezpieczeństwie"? Również związek miłosny nie jest pozbawiony okrucieństwa. Nie ulega wątpliwości, że fantazje mężczyzn na temat kobiet są często agresywne, do mordu włącznie. Sny, kliniki i dzieła sztuki pełne są gwałtu i krwi masakrowanych kobiet. Główną zasługą tego straszego Sade'a było to, że wydobyl na światło dzienne owe wstydliwe sekrety. Taka destrukcyjna obsesja bierze się ze strachu mężczyzny przed kobietą. Związek miłosny jest jednocześnie jednym z najbogatszych i najbardziej pozytywnych. Niemniej mężczyzna nie zna dobrze kobiety i źle ją rozumie, gdyż różni się ona od niego. Już biologicznie kobieta jest obca. To biologiczne monstrum z naroślami na piersi i dziurą w dole brzucha zamiast członka, monstrum zwykle i pociągające, fascynujące jak fascynujące bywają koty, lecz zawsze obce. Rozdziewiczenie samicy jest aktem gwałtownym i wstrząsającym. Zrozumiałe, że dla wielu mężczyzn jest źródłem nie tylko przyjemności, ale i poczucia winy, które potęguje jeszcze ich naturalna agresywność, niezbędna do spełnienia zadania wymaganego przez gatunek. Związek mężczyzny z kobietą nie ograniczają się zresztą do samicy: ma on też matkę. W macierzyństwie nie chce widzieć niczego poza czułą troskliwością, lecz matka też jest groźna, choćby dlatego, że wychowuje. Strach i niechęć występują i tutaj. (Zorientowałem się właśnie, że relacje kobieta - mężczyzna opisują wyłącznie z punktu widzenia mężczyzny! Należałoby oczywiście uzupełnić ten obraz inną perspektywą: jak kobiety przeżywają różnice anatomiczne? I stałe zagrożenie gwałtem?)

Naturalnie to wszystko nie jest dokładnie rasizmem. Rasizm zaczyna się wraz z interpretacją różnic, które są punktem wyjścia do fabulacji, a niekiedy agresji. Ale przyjemna czy nieprzyjemna, różnica nie jest czymś neutralnym.

Niedawno burmistrz pewnego nadmorskiego uzdrowiska chciał zakazać wstępu na plażę chorym umysłowo tłumacząc, że odstraszą oni innych letników. Wybuchł skandal: burmistrz nie miał bowiem prawa pozbawić takiej czy innej kategorii ludzi radości słońca i morza. Ale jeśli moralnie nie miał słuszności to przecież wyraził uczucia ogółu: jakkolwiek trudno nam się do tego przyznać różnice fizyczne i psychiczne, somatyczne czy umysłowe choroby, mogą budzić złe samopoczucie urastające czasem aż do lęku, i to nawet u profesjonalistów, wyspecjalizowanych nauczycieli i wychowawców. Zresztą na widok nieznanego sobie zjawiska i zwierzę okaże ogromny niepokój.

DOŚWIADCZENIE POWSZECHNE

Zanim rasizm posłużył jako idealna maszyna do niszczenia drugiego człowieka, jest on wpiery doświadczeniem przeżyтым i to doświadczeniem powszechnym, będącym udziałem wielu. To prawda, że kolonizatorzy są często rasistami, ale kolonizowani są nimi także. Nie ma mowy o jakimś manicheizmie: ofiary również nie są wolne od tego grzechu. Przeciętny rasista - kolonizator, biały czy mieszkaniec metropolii - nie potrzebuje czytać Gobineau czy "Mein Kampf", żeby gardzić "tubylcem", Żydem czy imigrantem. Kolonizowani albo przedstawiciele mniejszości są ksenofobami bez powoływania się na własne tradycyjne teksty czy odpowiednie źródła, które doradzają im raczej szacunek dla obcego. Łatwo dostrzec cudze błędy, zwłaszcza gdy obcy ma dodatkowo tę wadę, że jest potężny, groźny i uprzywilejowany. Trudniej dojrzeć je w sobie i wśród swoich, zwłaszcza jeśli się jest ofiarą. Obarczyć więc ofiary jeszcze jednym ciężarem? A przecież trzeba: wyznaczenie win jest bowiem wstępem do znalezienia lekarstwa, o ile takie w ogóle istnieje. Biali, czarni i żółci, Arabowie, Żydzi i Indianie, członkowie afrykańskich szczepów, azjatyckich plemion, i rozmaitych wspólnot, wszyscy stykali się od urodzenia z tym rozproszonym w powietrzu rasizmem: wchłanialiśmy go wraz z pierwszymi podpłomykami czy placzkami na oleju. Wyjaśnienia, wywody i argumenty pojawiają się później, żeby uporządkować i nadać kształt tym niebezpiecznym oparom. W Tunezji Francuzi, Włosi, Maltańczycy, Grecy, Hiszpanie, Turcy, biali Rosjanie, a także Tunezyjczycy muzułmańscy i żydowscy, wszyscyśmy mieli swoich mniej lub bardziej zadeklarowanych rasistów. W rozmaitym stopniu, każdy na swój sposób, z różnymi i często sprzecznymi argumentami, wszyscy podejrzewaliśmy się wzajemnie, odrzucaliśmy wszystkich innych, z góry ich potępiając, ponieważ oni to oni, a my to my. Ta skłonność była powszechna i wzajemna, zrodzona najczęściej z niemocy a zarazem woli mocy. Panujący w koloniach obywatel metropolii dosłownie musiał być rasistą, by uprawomocnić swoją wyższość. Żeby zachować swoją pozycję, żyć nadal w sposób, w jaki żył dotąd - poza tym układem nie potrafił już sobie siebie wyobrazić - musiał poniżyć swoich nieszczęśliwych partnerów sytuacji kolonialnej. Zmuszał go do tego również strach, jaki żywi każda mniejszość, nawet chroniona przez wojsko i policję i uspokajana przez wszechpotężną metropolię. Rasizm południowo-afrykańskich białych ma w sobie te dwa elementy: samousprawiedliwienie przez oskarżenie drugiego i egzorcyzmowanie lęku przed drugim przez afirmację samego siebie. Ale zdominowani tubylcy też mieli swój własny rasizm i to nie tyle wobec Europejczyków, którzy ich fascynowali, ile wobec innych grup, bardziej jeszcze narażonych na ciosy, i na których oni z kolei mogli powetować sobie własną niższość: np. wobec Żydów, którzy odpłacali im się tym samym, ponieważ też czuli potrzebę powetowania sobie tak niewdzięcznego losu. A co powiedzieć o Sycylijszykach, a Maltańczykach...

DOŚWIADCZENIE SPOŁECZNE

Wynika z powyższego, że rasizm staje się naprawdę rasizmem dopiero w kontekście społecznym. Można i trzeba naświetlić mechanizmy właściwe zachowaniom odrzucającym "innego", ale nie to jest dla nas sprawą najważniejszą. Rasizm nie jest ani czystym uczuciem, ani czystym pojęciem, abstrakcyjnym rezultatem analizy. Będąc konkretnym przeżyciem, jest rasizm relacją między dwiema jednostkami występującymi w destrukcyjnym duecie, i z których każda należy do specyficznego, właściwego jej świata. Jakkolwiek rasizm uważa się za całkowicie negatywną wizję drugiego, to jednak w deformującej mgłę uprzedzeń staje się on doświadczeniem drugiego w

całym jego niepokojącym bogactwie. Jest jednocześnie konfliktem między dwiema przynależnościami, dostarczającymi mechanizmów samousprawiedliwienia i uogólnień, obrazów i argumentów, które podtrzymują i umacniają mity i różne formy alibi. Rasizm jest w sumie pewną społeczną i historyczną kulturową rzeczywistością.

Ja zetknąłem się z nim po raz pierwszy w kontekście kolonialnym. Było to pewną szansą w tym sensie, w jakim mówi się "o ładnej" ranie lub "czystym" guzie, pozwalającym lepiej uchwycić istotę choroby. Na każdym kroku stykałem się z rasizmem jawnym i nie uszinkowanym, co zmusiło mnie do dokonania jednoznacznego wyboru. To wczesne i bezpośrednie doświadczenie, któremu nic później nie zdołało zaprzeczyć, musiało wpłynąć na moje teksty. Bohater mojej pierwszej powieści już w dzieciństwie odkrywa rasizm i ksenofobię na ulicy, w szkole, w instytucjach i gazetach. Książka przepojona jest tą wszechobecną atmosferą, znaczoną od czasu do czasu gwałtownymi wybuchami rasowych uprzedzeń. Kiedy przeszedłem do prac bardziej refleksyjnych, wydało mi się konieczne wyjaśnienie tego tak częstego i powszechnego zjawiska. Nigdy się jednak z tym do końca nie uporałem.

RASIZM I KOLONIZACJA

Być może rozwodzę się zbyt nad bardziej lub mniej świadomą genezą rasizmu. Ale sądzę, że przeżyte doświadczenie jest kamieniem probierczym, filtrem i gwarancją dla myśli krążącej między faktami wyjściowymi a skutkami, i że nic nie zastąpi wrażliwego odbioru i wycucia rzeczywistości. Uważam też, że równie konieczne jest racjonalne jej uporządkowanie. Choć doświadczałem rasizmu w sklepie, w drodze do szkoły, w szkole, w liceum, przecież trzeba było, by gwałtowny kryzys historyczny ponaglił bieg wydarzeń, abym próbował uchwycić mechanizmy tego zjawiska. Przyznaję, że było to tylko pewne szczególne doświadczenie w pewnym szczególnym kraju, co zarzucano mi w związku z moimi pierwszymi tekstami o kolonizacji. Nie widzę w tym sprzeczności: istnieją tylko poszczególne przypadki, które należy wyjaśnić, porównać i zinterpretować w ogólniejszej perspektywie. Powiedzmy, że każde doświadczenie jest szczególne, a nauka zaczyna się wraz z porównaniem.

Kiedy wróciłem do Tunezji na początku wydarzeń, które miały doprowadzić do niepodległości kraju, przeżyłem dramat. Miałem związki i przyjaźnie w obu obozach; kolonizatorzy i skolonizowani nie byli dla mnie jakimiś teoretycznymi postaciami, lecz ludźmi, z którymi stykałem się na codzień, krewnymi, kolegami - sam byłem jednym z nich! Odczuwałem nienasyconą potrzebę zrozumienia, jeśli nie popierania, i jednych, i drugich. Chciałem nakreślić możliwe najwierniejszy podwójny portret - w rezultacie powstała książka "Portret kolonizatora", a w ślad za nią "Portret skolonizowanego". Wynikało z nich między innymi, do jakiego stopnia byliśmy ze sobą związani, tak iż cechy i postępowanie każdego odbijały się na postępowaniu innych. A więc, że istnieje coś, co można by nazwać międzyludzką relacją kolonialną, w którą z konieczności każdy z nas jest wplątany. Opisując metodycznie te relacje odkryłem, że jednym z jej nieuniknionych składników jest rasizm.

Narzucano się to tym bardziej, że wymazałem w moich książkach cały koloryt lokalny, całą psychologiczną malowniczość, żeby lepiej wydobyć strukturalne linie kolonizacji: bez wątplenia rasizm był integralną częścią nawet najbardziej uproszczonego schematu. I niewątpliwie, tak w koloniach jak gdzie indziej, nie ograniczał się do kolonizatora. Sugerowałem zresztą, bez specjalnego nacisku, istnienie rasizmu wśród innych populacji. Ale rasizm Arabów, Żydów czy Maltańczyków nie był istotnie związany z relacją kolonialną, brał się z innych przyczyn, do których miałem jeszcze powrócić. Natomiast kolonizator jako taki niemal zawsze jest rasistą. Nie tu miejsce na przypomnienie wprowadzonych przeze mnie rozróżnień między różnymi kategoriami kolonizatorów i podkreślenie dobrej woli niektórych spośród nich. Potwierdzam natomiast, że nie ma relacji kolonialnej, w której rasizm byłby zupełnie nieobecny, z którą nie byłby on głęboko związany. Nadal wydaje mi się uprawnione twierdzenie, że rasizm ilustruje, symbolizuje i streszcza w sobie kolonialne relacje międzyludzkie.

W tej samej książce proponowałem analizę zawartą w trzech punktach: rasizm polega na uwidocznieniu różnic, na nadawaniu tym różnicom wagi i ocenianiu ich oraz na wykorzystywaniu tego zabiegu przez oskarżającego. Ale już wtedy odnotowałem, że żaden z tych zabiegów wzięty z osobna nie stanowi jeszcze rasizmu. Uniknięto by wielu nieporozumień i niepotrzebnego obarcza-

nia się winami, w tym zakresie jest ich aż nadto, gdyby pamiętano, że te trzy czynniki muszą występować łącznie.

Nie jest rasizmem podkreślanie różnicy - biologicznej lub innej - nawet jeśli ta różnica jest wątpliwa. Nie jest zbrodnią wyupuklanie różnicy tam, gdzie jej nie ma - to tylko błąd albo głupota. Jeszcze mniej naganne jest uwidocznienie różnic tam, gdzie one istnieją. Wolno nawet sądzić, że jest to postępowanie uprawnione. W końcu ciekawość stanowi pierwszy stopień poznania. Badanie różnic między ludźmi stało się przedmiotem antropologii. Dyscyplina ta dzieli się na antropologię biologiczną i antropologię kulturową, uwzględnia zatem różnice biologiczne i różnice kulturowe. Również psychologia i socjologia zajmują się badaniem różnic i podobieństw. Czy wszystkich naukowców badających człowieka trzeba podejrzewać o rasizm? Stwierdzenie różnicy nie jest rasizmem, lecz stwierdzeniem. Ale może być ono użyte dla rasistowskiej agresji. Cecha wyróżniająca nie może sama w sobie uzasadniać oskarżenia, nadmiernego i nieuczciwego znaczenia nabiera dopiero wówczas, gdy zostaje wykorzystana w argumentacji rasistowskiej.

To, że ktoś nadaje wagę różnicy z korzyścią dla siebie, nie jest jeszcze wystarczającym dowodem rasistowskiej mentalności. Przyznajmy, że jest to tendencja powszechna, choć często nieusprawiedliwiona i świadcząca o śmiesznej próżności. Błąd bierze się stąd, że rozpatrujemy różnicę poza ich kontekstem, co potęguje nasze zdumienie i niepewność, i skłania nas do preferowania naszych własnych cech i zwyczajów. Mój przyjaciel wrócił z podróży do serca czarnej Afryki. Opowiadał mi, jak go zdumiewało i niepokoiło takie czy inne zachowanie mieszkańców, które wydawało mu się zupełnie niezrozumiałe. Szczęściem, będąc człowiekiem sumiennym i nieufnym wobec samego siebie, powiedział sobie, że możliwe są dwie hipotezy: albo ci ludzie są innej "rasy", w domyśle niższej, albo on nie potrafi zinterpretować ich zachowania, ponieważ brak mu wiedzy na temat ich życia i tradycji. Pierwsza interpretacja trąci rasizmem, bo pomniejsza czarnych, a wywyższa białych, druga - nie. Ale w obu przypadkach pozostaje zdumienie, poczucie obcości i - w końcu, dlaczego nie? - prawo każdego do preferowania własnego sposobu życia po prostu dlatego, że jest do niego przyzwyczajony. Wolno człowiekowi woleć oczy czarne od niebieskich, włosy gładkie od kręconych i taki a nie inny kształt nosa. Gdybyśmy próbowali narzucić jakiś estetyczny czy erotyczny kanon, wpędzilibyśmy się w spory jałowe, bezsensowne i rodzące hipokryzję. Byłby to rasizm na opak. Wszyscy nosimy w sobie pewne wpojone w dzieciństwie wzorce będące odbiciem pierwszych istot, które pochyliły się nad naszą kołyską - ojca, matki i bliskich. Nie ulega wątpliwości, że najwcześniejsze doświadczenia mają decydujący wpływ na nasze gusty, na to, co nas pociąga i co odpycha. Nie jest to zresztą proste: jeden woli blondynki przez wierność dla modelu matczynego, inny preferuje brunetki przeciwstawiając się własnej jasnowłosej matce, podobnie jak w tych katolickich rodzinach, gdzie syn zostaje komunistą albo masonem, żeby sprzeciwić się ojcu. Nie ma w tym nic uwłaczającego, niczego, z czym należałoby walczyć, ani też niczego, co powinno budzić poczucie winy.

Rasista czyni człowieka punktem trzeci: wykorzystanie różnicy przeciwko innemu po to, by wyciągnąć korzyść z tego napiętnowania. Twierdzić słusznie czy niesłusznie, że dany naród kolonialny jest technologicznie niższy od innego to jeszcze nie rasizm. O tym można dyskutować, dowieść tej tezy lub ją obalić. Ale kolonizatorzy nie zadowolili się taką konstatacją czy pomyłką: wywnioskowali, że skoro tak, to mogą i powinni zawałdnąć narodem kolonizowanym, i uczynili to. Wytłumaczyli i uprawomocnili swoją obecność w kolonii brakami kolonizowanego. Mało brakowało, by trzeba im było dziękować za to, że raczyli się pofatygować i poświęcić zbawianiu niższych braci. Gdyby nie to interesowne wykorzystywanie różnicy przeciwko innemu, kolonizacja byłaby może przedsięwzięciem filantropijnym, a przecież była przede wszystkim systematyczną grabieżą. (...)

RASIZM I RÓŻNICA

Pozostaje jednak faktem, że różnica jest filarem postępowania rasistowskiego. Pojęcie to stało się dziś modne: "prawo do różnicy" jest sztandarowym hasłem najrozmaitszych rewindykacyjnych batalii. Nie upraszcza to sprawy ze względu na przesadne i niekiedy śmieszne jego wykorzystanie. Będąc jednym z pierwszych odpowiedzialnych za lansowanie pojęcia różnicy, chciałbym wyjaśnić pewne nieporozumienie. Gdybym miał się ograniczyć do paru słów, przypominałbym raz jeszcze, że ważna jest nie tyle różnica, ile znaczenie, jakie się jej przypisuje; w przeciwnym razie przez

ironię historii zgadzalibyśmy się z ludźmi, z którymi chcielibyśmy walczyć. A teraz wyjaśnię to szerzej.

Kiedy zacząłem się zastanawiać nad tymi problemami, różnica nie miała dobrej prasy w naszych środowiskach, powiedzmy z grubsza - antykolonialnych i antyrasistowskich. Przeciwnie, bronili i cenili różnicę konserwatyści i zwolennicy kolonizacji. Racje i jednych, i drugich zdawały się jasne. Podkreślanie znaczenia różnic nie bez powodu wydawało się nam podejrzane: poprzedzało wszelkie oskarżenia i przygotowywało wszelkie niesprawiedliwości. Konserwatyści, którzy bronili porządku społecznego opartego rzekomo na ładzie naturalnym, wykorzystywali to podwójnie: afirmowane różnice przemawiały w dodatku na ich korzyść. Traktując kolonizowanych jak podludzi (i uważając ich za takich), kolonizatorzy afirmowali jednocześnie własną nadludzkość. Różnica znaczyła nierówność. Nierówność biologiczną i kulturalną, prowadzącą do nierówności ekonomicznej i politycznej, to znaczy do dominacji. Kolonizatorzy czuli się w prawie postępując wedle własnego widzimisie, czyli z korzyścią dla siebie. Takie same mechanizmy działają przeciwko czarnym albo kobietom, na korzyść białych albo mężczyzn. Powierzanie odpowiedzialnych funkcji czarnym nawet im samym przyniosłoby szkody, gdyż byłoby sprzeczne z ich biologiczną i kulturową naturą, toteż należy powierzać je wyłącznie białym, którzy wykorzystują je właściwie (...). Podobnie z kobietami: trzeba je chronić nawet przed nimi samymi. Słuszność po stronie mężczyzn i białych wyrasta z niesłuszności po stronie kobiet i czarnych. Ten sam mechanizm z pewnymi niuansami występował w stosunku do Żydów: gospodarczy lub polityczny sukces Żyda jest nieszczęściem dla wszystkich, z Żydem włącznie. W interesie ogółu lepiej tego unikać.

W drugim, to jest naszym obozie trzymano się twardo podobieństwa między ludźmi. Było to nawet podbudowane pewną laicką metafizyką: istnieje jedna natura ludzka w czasie i przestrzeni. Podobieństwo miało prowadzić do naturalnej równości: "ludzie rodzą się wolni i równi". Rewolucyjny prawodawca dodawał wprawdzie "wobec prawa", co jest istotnym uściśleniem, ale nie zwracano na nie specjalnej uwagi. Naturalna równość miała narzucać równość społeczną. Dominacja, "wzrost człowieka przez człowieka", była więc nadużyciem z którym należało zdecydowanie walczyć.

Otóż o ile rozumowanie naszych wrogów oburzało mnie, o tyle w rozumowaniu moich przyjaciół coś mnie niepokoiło. Twierdzili, że różnice nie istnieją, a wychodząc od takiego założenia wszystko stawało się spójne: ludzie są podobni, toteż nierówności społecznej nie tłumaczy nic poza przemocą i niesprawiedliwością. Ale jeśli mylili się w swoich założeniach? Jeśli różnica istniała, to co z ich argumentacją i - po nitce do kłębka - z całą naszą filozofią społeczną? Czyżbyśmy musieli przejść do obozu naszych przeciwników i zgodzić się z ich niesprawiedliwym porządkiem - kolonialistycznym, rasistowskim i "macho"? (tego ostatniego słowa jeszcze wówczas nie używano). To wydawało nam się nie do pomyślenia, choć byłoby logicznym wnioskiem. A uniknąć go można było jednym tylko sposobem, mianowicie rewidując nasze założenia. W końcu rzecz była sprawą nauki, a nie opinii: czy dla nauki istnieją różnice biologiczne i inne? Zakładanie *a priori*, że ludzie są podobni bądź różni, jest sprawą interesu i taktyki lub namiętności. Jedynie fakty mogą rozstrzygająco zaprzeczyć jednemu bądź drugiemu, albo - co bardziej kłopotliwe - raz jednemu, raz drugiemu: różnice mogą istnieć w pewnych przypadkach, ale nie we wszystkich.

Odkryłem wkrótce ze zdumieniem, że obie strony były w błędzie, i nasi wrogowie, i moi przyjaciele. W gruncie rzeczy obie zakładały, że źle jest być innym - wprost bądź nie wprost, obie dawały do zrozumienia, że istnieje pewien model i że wcieleniem tego modelu jest ten, kto ma przewagę. Tak dla jednych, jak dla drugich, bycie innym znacząco bycie innym niż ten, kto dominuje. Nawet laicki, republikański nauczyciel oddany swoim "tubylczym" dzieciom czuł się obarczony misją kształtowania małych Francuzów na swój obraz - obraz cywilizacji, dobrych obyczajów, smaku i elokwencji francuskiej. (Kiedy znalazłem się w metropolii, stwierdziłem, że ten sam nauczyciel, klejnot jakobińskiej demokracji, zajmuje dokładnie taką samą postawę wobec chłopów w swoim kraju czy w ogóle wobec Bretończyków i Alzactczyków. Co wcale nie jest czymś tak zupełnie innym). My zaś z naszej strony winniśmy byli posłusznie robić wszystko, by upodobnić się do naszych nauczycieli, na co zresztą godziliśmy się chętnie, nawet za cenę gruntownego prania naszych dusz.

Słowem, jak wszystkie problemy pozornie nierozwiązalne, ten problem był źle postawiony. Zarówno przez kolonizatorów, którzy afirmowali różnice, żeby pognać kolonizowanych, jak i

przez antykolonialistów, którzy je negowali, by kolonizowanych bronić. Kiedy, nabrawszy dystansu do szlachetnych lecz ślepych schematów szkoły republikańskiej, zacząłem przyglądać się uważniej rzeczywistości, zobaczyłem, że różnice istnieją. O cudzie edukacji! Jak mogłem tak długo sądzić, że ich nie ma? Na ulicy, w tramwaju, na rynku tłum ludzki był wyraźnie "kosmopolityczny" i pstry! Naturalnie nie przemawiało to bynajmniej za rasistami, gdyż różnaitoż można znaleźć wewnątrz każdej grupy, łącznie z ich własną, a granice między naszymi społecznościami nie były wyznaczone pod sznurek. Jednak niewątpliwie różniliśmy się od siebie. Kiedy później znalazłem się na Sorbonie, poważne twierdzenia moich kolegów, że nie ma różnic między ludźmi, budziły mój uśmiech. Nie zaprzeczałem im, bo mieli najlepsze intencje. Wystarczyło zresztą, by patrzyli - jak ja - oczami, a nie głową: w ich własnym kraju, Francji, którą namiętnie zwiedzałem, ludność zmieniała się zależnie od regionu i klimatu. Była w moich kolegach zresztą nie tylko szlachetność: odkrywałem oto tę mieszaninę jakobińskiej krótkowzroczności i republikańskiej dumy, które współistnieją w każdym dobrze urodzonym Francuzie, a są nieoczekiwanym dziedzictwem "Ancien Regime'u". Słynna dewiza mówiąca o "czterdziestu królach, którzy stworzyli Francję" za sprawą "jednego prawa, jednego króla, jednej wiary", nadal żyła, choć zlaicyzowana, w formule "jednej i niepodzielnej Republiki".

W tym samym czasie intelektualści zaczęli się spotykać na rozmaitych kolokwium poświęconych sprawie przebudzenia ludów kolonialnych oraz przyszłości kolonizacji. Brałem udział w kilku takich spotkaniach. Występując na I Kongresie Czarnych Intelektualistów stwierdziłem już, że asymilacja poniosła fiasko. Nie zawsze oczywiście i nie wyłącznie z winy kolonizowanego, który początkowo jej pragnął, lecz przede wszystkim dlatego, że nikt nie chciał się z nim asymilizować. Prawica nie chciała nawet dopuścić myśli o czymś tak okropnym, co mogłoby się skończyć przerażającą w ich oczach mieszaniną krwi i skrzyżowania ras. Wiedziała poza tym, że w rezultacie utraciłaby w ten sposób swoje przywileje. Natomiast ludzie lewicy nie wyobrażali sobie, by można było chcieć czegoś innego niż upodobnić się do nich: chętnie widzieliby kolonizowanego masona, specjalistę czy uniwersalistę, ale nie muzułmanina, fetyszystę czy Żyda! Słowem nie kolonizowanego jako takiego, z jego specyfiką i wszystkimi różnicami. Cóż pozostawało kolonizowanemu (i ogólniej wszystkim ludziom zdominowanym, jak to pokazałem później), jeśli nie zaakceptować samego siebie, skoro inni go nie akceptowali? Skoro dobra wola potentata prowadziła jedynie do upokorzeń, lepiej dochodzić swoich praw. Innego wyjścia nie było i taka sytuacja okazywała się zdrowsza; odrzucać samego siebie, czerwić się za swych podbitych przodków, swój niezręczny język i na pozór nierozumne obyczaje - tego się nie da wytrzymać. Gdy tylko zdominowany zaczyna mówić, natychmiast dawał wyraz swoim bolesnym a jałowym zahamowaniom, bo przyjąć optykę dominującego, to zgodzić się na patrzyenie na siebie jego oczami, zgodzić się na jego destrukcyjną pogardę. Żeby żyć, trzeba się, tak czy inaczej, zaakceptować. Jeżeli nie można afirmować swojej osoby przez identyfikację, trzeba to zrobić przez różnice. Posunąłem się krok dalej w późniejszym utworze, gdzie pisałem: "Być, to być różnym". Głoszenie różnicy stało się warunkiem samoafirmacji, sztandarem odzyskanego własnego, indywidualnego i zbiorowego Ja. Tak oto wpiern dominujący afirmował swe różnice przeciwko zdominowanym, a następnie zdominowany rewindykował swoje przeciwko dominującemu. Proponowałem, by ten drugi symetryczny ruch nazwać "powrotem wahadła".

Od tego czasu wielokrotnie potwierdzono tę banalną już dziś analizę. Niemniej kosztowała nas wiele cierpień, była okazją do zażartych sporów, waśni i czasem błędów. Co do "powrotu wahadła", to rzadko się zdarza, by ograniczał się on do naprawienia niesprawiedliwej sytuacji. Niesione rozpędem wahadło na ogół leci dalej, popełniając nowe niesprawiedliwości, jak na przykład wywłaszczenia drobnych kolonistów czy szykanowanie mniejszości. Afirmowanie własnego Ja przybiera niekiedy rozmiary mistyczne: destrukcyjnym mitom przeszłości przeciwstawia się równie szalone kontrmity. Byłe przodek staje się bohaterem legendy, a taniec ludowy okazuje się szczytem sztuki. Wpiew walczyłem o uznanie różnic, potem protestowałem - i nadal protestuję - przeciwko nowym nadużyciom. Nie były one bynajmniej wpisane w nasze ówczesne roszczenia. Kiedy na I Kongresie Czarnych Intelektualistów jeden z uczestników wykrzyknął za Molierem "może łachmany, ale drogie mi, bo moje", słowa "łachmany" użył umyślnie. Nie przeceniał swojej murzynkości, choć nie chciał nią dłużej gardzić. Dziś głosi się hasło "Black is beautiful", jest się dumnym z tego, że się jest kobietą, Żydem czy Bretończykiem. Ta duma wydaje mi się tyleż dyskusyjna, co niegdysiejsze niedoceniaanie samego siebie. Nikt nie powinien się wstydić swojej

przeszłości i rodziny: akceptować siebie, to akceptować również swoją historię, osobistą i zbiorową. Ale czy od odrzucania samego siebie trzeba zaraz przejść do przesadnego podbijania własnej wartości? Cenić się ponad miarę dlatego, że było się niedocenianym? Czy nie grozi nam, że popelnienie takich samych błędów co rasistowscy zwolennicy różnicy? Czy nie ryzykujemy, że rychło będziemy afirmować siebie przeciwko innym?

Podobnie ma się rzecz z tak modnymi dziś, a równie trudnymi do uchwycenia pojęciami tożsamości, korzeni itp., których przydatność jest dość wątpliwa. Wszystko to daje się wytłumaczyć i zapewne jest uzasadnione po tak długim okresie tłumienia, ale też trzeba wiedzieć, do jakich nowych szaleństw można tą drogą doprowadzić. Doprowadzić lub powrócić, gdyż - o ironio historii! - pierwszymi, którzy głosili kult zbiorowej tożsamości i korzeni, byli ludzie prawicy. W gruncie rzeczy jest to rewindykacja paseistyczna i, jak to często bywa, bardzo mętna. Wspólna przeszłość jest w dużej mierze fikcją, gdyż często nie będąc ani wspólną, ani prawdziwą przeszłością, jest po prostu interesownym wymysłem. Komu bowiem wspólna? Czyja przeszłość? Odpowiedzi na te pytania kryją wiele niespodzianek. Kto jest naprawdę pewien swoich domniemyanych przodków? Należałoby to wszystko uporządkować, jeżeli to możliwe i rzeczywiście potrzebne, bo nie jestem pewien, czy tak wielu ludzi chciałoby zakłócić swą piękną, historyczną pewność siebie. W każdym razie być, to być różnym, być różnym to być innym, czyli każdy jest różny i każdy jest inny. Wynika stąd, że afirmowanie samego siebie jest z definicji względne. Jakiegokolwiek byłoby znaczenie różnicy dla tego procesu rehabilitacji i odzyskiwania własnej godności, nie można różnicę rozpatrywać jako takiej. Nikt nie może rościć tu sobie prawa do palmy pierwszeństwa.

Prawdziwa stawka - nie zapominajmy o tym - jest nie tyle różnica, co wykorzystywanie jej jako broni przeciwko ofierze a na korzyść oskarżyciela. W tym tkwi prawdziwa perwersja rasizmu. Zakończę ten wywód konkluzją w trzech punktach: różnice mogą istnieć bądź nie istnieć. Różnice same w sobie nie są ani dobre, ani złe. Nie jest się rasistą czy antyrasistą, gdy sygnalizuje się różnice bądź je neguje, ale wówczas, gdy wykorzystuje się je przeciwko komuś z korzyścią dla siebie.

MIT I ALIBI

Miejsce mitu w podejściu rasistowskim jest od razu widoczne: jeżeli różnica istnieje, interpretuje się ją, jeśli nie istnieje, to się ją wymyśla. Przytoczyłem już kiedyś słowa pewnego psychiatry, który tłumaczył mi poważnie, że kolonizowani źle jedzą i źle chodzą, w czym nie byłoby jeszcze nic wielkiego, ale też źle oddychają! Ten, kto nie znosi robotników i patrzy na nich nieżyczliwie, w końcu zaczyna ich uważać za różniących się fizycznie: dla Balzaca dziewczyna z ludu, nawet gdy piękna, musi mieć przynajmniej duże stopy, ujawniające jej pochodzenie. Przesada jest niekiedy tak wielka, że aż komiczna. Murzyni mają rzekomo tak wielkie członki, że kobieta, która raz tego doświadczyła, nie może odczuwać rozkoszy z białym. Wszystkie Żydówki mają syfilis, a czasem odgryzają przyrodzenie kochankowi. Warto zwrócić uwagę, że te oskarżenia, komiczne bądź nie, skupiają się zawsze wokół tych samych spraw - pieniądze, seks, władza - co świadczy o tym, czym są zaprzątńcy oskarżyciele. Rasizm jest pewną postawą, a także pewną argumentacją, jest oskarżeniem i obroną. Sens dowodu nie budzi wątpliwości: zawsze idzie o usprawiedliwienie agresora.

Kolonizator proponuje obraz kolonizowanego tak dobrze dostosowany do wymogów kolonizacji, że należałoby uwierzyć w jakąś z góry ustanowioną harmonię. Pisano zresztą o tym: Europejczycy stworzyli imperium kolonialne, ponieważ przyszli kolonizowani "nadawali się" do skolonizowania. Zrozumiałe, że Europa musiała wypełnić tę pustkę, był to jej "historyczny obowiązek"! Twierdzono, bynajmniej nie żartując, że protektoraty zostały utworzone, żeby protegować kolonizowanych. Zyski i zdzierstwa były wynikiem nierozwagi, zaniedbań i nadużyć, jak to się dzisiaj mówi. Antysemici tworzą sobie mityczną figurę Żyda, tak dopasowaną do ich namiętności, że trzeba by uwierzyć w jakieś wyroki Opatrzności: wierzone w to bądź udawano taką wiarę. Przykładem miejsce Żyda w mitologii Chrystusa, koniecznej ofiary Żydów dla odkupienia ludzkości. Mężczyźni kreślą portret kobiet, w którym one się nie rozpoznają, ale który znakomicie odpowiada samcom. Pamiętamy tych Murzynów ze starych filmów, którzy przewracali białkami, bełkocząc i trzęsąc się ze strachu, niezdolni, po okresie niewolnictwa, żyć inaczej niż w chronionym środowisku, to jest w roli służby domowej. Wszystkie te portrety są wygodne i mają w sobie coś podobnego: coś, co płynie z potrzeb i urojeń dominujących.

Wygoda jest tym oczywista, że nie dba ani o konsekwencje, ani o umiar; wydaje się, że nic nie krępuje atakującego rasisty. Żyd jest jednocześnie skąpy i rozrzutny, kobieta - głupia i przebiegła. Nawet oczywiste zalety przemienia się w wady: mówi się, że nieszczęścia wyostrzyły inteligencję Żyda, tak, ale stał się zbyt inteligentny, a przez to tym bardziej niebezpieczny. Żyd jest spokojny, skłonny do pojednania? Nie, jest unizony - to jeszcze jeden podstęp. Murzyni mają poczucie rytmu? To dowód, że brak im szlachetniejszych talentów. Delikatność kobiet to tylko wynik ich naturalnej bierności, brak energii. Ofiarę pozbawia się wszelkich cech pozytywnych, obraz jest zawsze czarny. Żyd jest jednocześnie postacią biologiczną, ekonomiczną, psychologiczną, kulturalną i metafizyczną... a wszystkie są negatywne. Nie w tym rzecz, iżby Żydzi, kolonizowani i kobiety nie mieli swoich, odróżniających ich od innych wad. Mówilem wiele razy, że powinniśmy się wystrzegać negowania różnic. Ale nie jest tak, by kolonizowani mieli same wady, a kolonizatorzy - same zalety! Dlaczego wszystko, czym wyróżnia się kolonizowany, jest *a priori* złe? Dlaczego dominujący systematycznie potępia obyczaje i sposób życia dominowanego, nawet na płaszczyźnie najbardziej banalnej, takiej jak przejawy radości i smutku, sposób odżywiania i wychowywania dzieci? "Jak oni to mogą jeść!", "tutejsze dzieci są najgorzej wychowane na świecie". Czasem dopuszcza się wyjątek, jak w przypadku tych antysemitów, co mają "swojego Żyda". Skąd tyle jadawitej ironii w stosunku do kobiet? "Wszystkie kobiety to dziwki, z wyjątkiem mojej matki, która jest święta". Żart oczywiście, ale czy zupełnie niewinny?

Nielogiczna i oskarżycielska zaciekłość zawsze jest w taki czy inny sposób użyteczna dla oskarżyciela, gdyż porównanie wypada zawsze korzystnie dla niego. Kto nie widzi, że rasista buduje obraz ofiary na miarę swoich potrzeb?

Mityczna rekonstrukcja służy mu za samousprawiedliwienie, za specyficzne alibi ucisku, jaki pragnie stosować bądź już stosuje: mężczyzna wobec kobiety, biały wobec Murzyna, kolonizator wobec kolonizowanego. Oskarżenie biologiczne jest tu szczególnie skuteczne, dostarcza najpewniejszej gwarancji. Czarny jest nieuleczalnie czarny, kobieta jest nieodwołalnie kobietą. Stąd wysiłek, by scharakteryzować biologicznie Żyda i kolonizowanego, nawet jeśli biologia nie ma tu nic do rzeczy. To dlatego, że biologia jest figurą przeznaczenia.

RASIZM A UCISK

A wreszcie, niezależnie od takich czy innych wybiegów, celem rasizmu jest dominacja. Tę ostatnią lekcję wyciągnąłem z sytuacji krajów kolonialnych. Ogólniejsza korelacja dostarczała tu, jak sądziłem, podstawowego klucza do zrozumienia rasizmu. Jak w bilardzie, gdzie mierzy się w jedną kulę, by trafić w drugą, tak tu oskarża się kolonizowanego pod rozmaitymi pretekstami, ale zawsze po to, by go odrzucić, ograbić, pognać. Wychodząc od relacji kolonialnych, zacząłem wyjaśniać i systematyzować inne rasizmy, głęboko związane z podobnymi warunkami. Prawda, że sytuację Żyda, którą zajmą się później, znałem już od wewnątrz, zanim zacząłem się nad nią zastanawiać. Wnioski płynące z "Portretu kolonizowanego" uległy rozszerzeniu i uogólnieniu w sposób zupełnie naturalny: od kolonizacji przeszedłem do innych form ucisku i sformułowaną uprzednio myśl mogłem tak oto rozszerzyć: rasizm ilustruje i symbolizuje uciemnienie.

Jeśli jednak weryfikować stale znaczenie mitu w rasizmie, to widać również jego ograniczenia: jest niezbędny, lecz względny. Jest istotny, ale rasizm się w nim nie wyczerpuje. Rasizm jest przekonaniem, ale przekonaniem, które zapowiada i wytycza pewne postępowanie.

Samo przekonanie nie czyni rasisty, jeśli założymy, że rasista może się do przekonania ograniczać. Rasizm jest ideologią, a zarazem aktywnym manifestowaniem woli dominacji. Toteż ilekroć badamy jakąś dominację, odkrywamy równocześnie rasizm będący jej cieniem i nieuniknionym przedłużeniem. Tę niestrudzoną i interesowną złą wolę odkrywamy we wszystkich postaciach dominacji. Panuje nad tobą, bo jesteś istotą niższą, istnieją między nami różnice, znące tego dowodzą. Biali mogą podporządkować sobie czarnych, ponieważ czarni nie są biali, to znaczy dotknięci są przywarami rasy czarnej i pozbawieni zalet rasy białej. Mężczyźni mają prawo podporządkować sobie kobiety, ponieważ kobiety różnią się od nich, a kobiecość jest ułomnością. Ich wrodzone defekty mogą być zresztą pociągające: można być kobieciarzem i jednocześnie gardzić kobietami, można szaleć za Murzynkami, Żydówkami czy arabskimi chłopcami gardząc przy tym ich światem.

Na bardziej ogólnym przykładzie pokazałem, jak relacja dominacja-poddanie niszczy wzajemnie obu partnerów, przy czym każdego w specyficzny sposób. To pewne, że nie ma wspólnej miary dla cierpień ofiary i psychicznych deformacji agresora; przemiana w kata nigdy jednak nie pozostaje bez konsekwencji. Tę podwójną erozję odnajdujemy w rasizmie: ofiara poddana nękanom, które mają ją unicestwić, daje się w końcu zniszczyć. Nie tylko symbolicznie, w głowie rasisty, lecz konkretnie, przez poniżenie i ograniczenia narzucone jej życiu. Co gorsza, niszczy się sama. Zbrodnią rasistowskiego oskarżenia jest to, co zostaje uwewnętrznione, że polykamy to monstrum, które zjada nas następnie od środka: ofiara przyjmuje w końcu proponowany jej obraz samej siebie. Jak się bronić, jeśli zgadzamy się z napastnikiem? Przed Wielką Rewolucją Francuską niejaki Moreau de Saint-Mery klasyfikował Antyljczyków dzieląc ich na Murzynów, mulatów, terceronów, metysów, mameluków, mieszańców, marabutów i pazurzystych, nie mówiąc już o wszelkich możliwych między nimi kombinacjach... Wracam właśnie z Antyli, gdzie odnalazłem - jeszcze wzbogacony! - schemat Moreau de Saint-Mery'ego: Antyljczycy przeszli i zachowali na własny rachunek, że wszystkimi psychologicznymi i socjologicznymi szkodami, jakie łatwo sobie wyobrazić, tę piekielną skalę godności malejącej w miarę oddalenia się od "białego ojca", jak to sami określają. Nie łatwo wyleczyć się z naznaczonej uciskiem przeszłości. Przypominam sobie tę tunezyjską dozorczynię, która rzuciła mi kiedyś ze złością bumerang pogardy: "Pan jest tylko Tunezyjczykiem, jak i my!".

Ale rasista też nie znajduje swego raju, on też nie przestaje argumentować, bronić się i atakować. To studnia bez dna, spór nigdy nie skończony, gdzie nikt nie jest nigdy zupełnie przekonany. Ani ofiara, mimo swego zawstyżenia, ani rasista, który czuje, dłaczego musi być rasistą, dłaczego wciąż wydaje tę permanentną wojnę, która nigdy nie przynosi mu ukojenia. W czasie pobytu na Antylach nie przestawaliśmy o tym dyskutować z urodzonymi tam Francuzami.

Zauważyłem, że ani ten niepokój, ani uparty wysiłek, by go przezwyciężyć, nie są znakiem jakiegś absolutnej perwersji. I choć może to budzić zdziwienie, powiedziałbym, że trzeba je zaliczyć na plus rasisty. Zbrodniarz doskonały nie broni się, lecz zabija. Stąd bierze się to, co nazwałem etycznym paradoksem rasisty: mimo całej grozy tego ponurego zjawiska odkrywamy światelko nadziei o do możliwości udoskonalenia ludzkiej natury. Zwierzęta pożerają swoją ofiarę nie rozdzwając się nad tym, choć co prawda tylko wtedy, gdy są głodne, rośliny bardziej żywotne duszą mniej silne. Ludzie, jak wszystkie istoty żywe, okradają, duszą i mordują swoich bliźnich, ale odczuwają przy tym potrzebę wytłumaczenia się, usprawiedliwienia. Dominuję, mam przywileje? Pewnie, ale mam przecież do tego prawo! Na tej ziemi już mój ojciec, moi przodkowie... Nędzna to prawowitość, zwodnicza, fikcyjna, kulawa... Ale rasista trzyma się jej, kładzie na nią nacisk, robi z niej teorię, filozofię, moralność, oparte na rasie, psychologii, seksie, kulturze, metafizyce. Podczas gdy idzie po prostu o to, by ograbić bliźniego, zachowując w miarę spokojne sumienie. Ileż to zachowań "wielkich rodzin", "narodowych" polityk jest niczym innym, jak grabieżą w skali grupy społecznej, tłumaczoną koniecznością utrzymania świętej rodzinnej spuścizny lub "wyższym interesem ojczyzny!". W taki czy inny sposób trzeba uzasadnić swój zysk.

ZYSK

Bo zysk jest zawsze. I dlatego właśnie tu trzeba nadstawić ucha: postępowanie rasistowskie nigdy nie jest bezinteresowne, nawet jeśli natura zysku nie od razu jest jasna.

Cóż to za zysk? Na czym polega? Na pierwszy rzut oka może być bardzo rozmaity: psychologiczny, ekonomiczny, polityczny, kulturalny... Można szukać jakiegokolwiek korzyści, bardziej lub mniej świadomie, kosztem drugiego... Choć brzmi to jak tautologia, zysk rasisty dałoby się określić jako to wszystko, co przynosi korzyść przez dewaloryzację innego.

W tym miejscu trzeba odpowiedzieć na obiekcję marksistowską, że mianowicie rozmaitość rasistowskiego zysku jest tylko złudzeniem. Człowiek jest z gruntu istotą ekonomiczną, poruszana głównie potrzebami ekonomicznymi - reszta to odwracanie uwagi, podstęp i ideologia. Rasizm jest w istocie bronią ekonomiczną. Argumentacja rasistowska to tylko alibi dla przywłaszczania sobie bogactw naturalnych i, jeśli konieczne, stosowania "wyżysku człowieka przez człowieka". Zgodnie ze znaną formułą "w ostatecznym rachunku ekonomia jest motorem historii".

Zgadzam się częściowo z marksistami: słusznie podejrzewają rasistę, że przyświeca mu inny cel niż ten, który zawiera się w jego oskarżeniach. Jestem też przekonany, że często jeden i ten sam

wywód ma dwa znaczenia: otwarte przesłanie i ukryty sens. Ów sens ukryty jest często ważniejszy i donioślejszy od jawnego. Prawdziwy sens rasizmu pozostaje w ukryciu, ponieważ ujawniłby niesprawiedliwość. Zatem, bezsprzecznie użyteczne jest oszukiwanie ofiar: unika się w ten sposób ich reakcji, które mogłyby się okazać niepożądane. Nie można przecież spokojnie głosić swojego prawa do przywilejów, gdyż wówczas trzeba by stosować reżim twardej ręki, co niezbyt przyjemne, a przy tym kosztowne. Warto więc spróbować przebrania, zręcznej perswazji, gdyż w końcu to również oszczędność. Ideologia dominującego ma zawsze zalety pragmatyczne, które przyczyniają się do stabilności jego władzy.

Marksieści słusznie podejrzewają u współczesnego rasisty motywację ekonomiczną: występuje nader często, choć nie zawsze jest widoczna. Nie brak przykładów w historii, socjologii i nawet w literaturze, ilustrujących ten trop. Mały handlarz jest często antysemitą z powodu własnych kłopotów i łapczywości: spodziewa się wyciągnąć jakąś korzyść ze zniszczenia swoich żydowskich konkurentów. Nieprzypadkowo marazm gospodarczy budzi do życia hydrę antysemityzmu.

Moja zgoda z marksistami do tego się ogranicza. Sądzę, że nie mają racji sądząc, iż zysk sprawdza się zawsze do korzyści ekonomicznej, nawet "w ostatecznym rachunku", jak to zwykli mówić. Ta formuła jest zresztą dwuznaczna. Jeśli pomija formy pośrednie, jest fałszywa, jeśli uznaje znaczenie tych form, ma wartość tylko teoretyczną. Taką samą krytykę budzą wyjaśnienia odwołujące się do kompleksu Edypa. Wiem, że trudno dziś mówić o marksistach jako o jakiejś jednej grupie. Postarzawszy się, doktryna się zróżnicowała, jak to się dzieje w każdym starym kościele. Wierni tolerują dziś rozmaite kapliczki i heretyków. Niemniej nawet ci, którzy nie żądają jednej i jedynej interpretacji, bronią pierwszeństwa - "w ostatecznym rachunku" - ekonomii. Bardziej lub mniej otwarcie sugerują ekonomiczny redukcjonizm. A przecież rzeczywistość ludzka jest nader skomplikowana i nie wiadomo z całą pewnością, który z czynników rządzi wszystkimi innymi i czy w ogóle taki czynnik istnieje. Potrzeby człowieka są wielorakie, nawet jeśli nie niezliczone. Ich hierarchia jest rozmaita i zmienna. Potrzeba bezpieczeństwa, potrzeba miłości są często równie natarczywe, co potrzeba jedzenia. Krótko mówiąc, można być rasistą z rozmaitych powodów, nie tylko przez ekonomiczną kalkulację. Nawet jeśli mechanizm kompensacji w tych rozmaitych zyskach pozostaje ten sam.

ALBERT MEMMI (ur. 1920), Tunezyjczyk, urodzony w Tunisie (w społeczności żydowskiej). W 1956 roku wyjeżdża do Francji i osiedla się w Paryżu. Jest profesorem nauk społecznych na uniwersytecie Paris-X, Nantere. Opublikował eseje: "Portrait du colonisé précède du portrait du colonisateur" (Portret skolonizowanego poprzedzony portretem kolonizatora, 1957), "Portrait d'un juif" (Portret Żyda, 1962), "La libération du juif" (Wyzwolenie Żyda, 1966), "L'homme dominé" (Człowiek zdominowany, 1968), "Juifs et Arabes" (Żydzi i Arabowie, 1974), "La Dépendance" (Zależność, 1979), "Le Racisme" (Rasizm, 1982). Jest także autorem powieści "La statue de sel" (Słup soli, 1953), "Agar" (1956), "Le Scorpion" (Skorpion, 1969), "Le Désert" (Pustynia, 1977).



RED RAT

<http://red-rat.w.interia.pl>

e-mail: red_rat@interia.pl

Artur Wyrwa, skr. poczt. 39, 65-182 Zielona Góra 5
koperta + znaczek za 1,20zł = katalog Red Rat